JOHN NORRIS

PIERWSZA KRÓLOWA DZIENNIKARSTWA

MARY McGRORY

JOHN NORRIS

MARY McGRORY

Przełożyła: MARIA BIAŁEK

WYDAWNICTWO KOBIECE

TYTUŁ ORYGINAŁU: *Mary McGrory: The First Queen of Journalism*

Redaktor prowadząca: Beata Piecychna

Redakcja: Edyta Malinowska-Klimiuk
Korekta: Anita Rejch
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie Kapitolu na okładce: Shutterstock (#141662842)
Zdjęcie Mary McGrory na okładce: Corbis (#U121224609)
Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © 2015 by John Norris

All rights reserved including the right of reproduction in whole or in part in any form.
This edition published by arrangement with Viking, an imprint of Penguin Publishing Group,
a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © 2016 for Polish edition by Wydawnictwo Kobiece,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Maria Białek

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Źródła fotografii:
The Washingtoniana Collection, District of Columbia Library: s. 2 (na dole), 7 (na dole), 9 (na górze z lewej), 14 (na górze), © The Estate of Garry Winogrand, dzięki uprzejmości Fraenkel Gallery, San Francisco: s. 8 (na górze), Mary McGrory Papers/Library of Congress: s. 9 (na dole), 10 (pośrodku), 11 (pośrodku), 12 (na górze z prawej), 13 (na górze pośrodku), 15 (na górze), Lyndon Baines Johnson Presidential Library: s. 10 (na górze), © The Estate of Bill Eppridge: s. 11 (na dole), Richard Nixon Presidential Library: s. 12 (na dole), inne fotografie zamieszczono dzięki uprzejmości rodzin McGrorych i Beattych.

Wydanie I
Białystok 2016
ISBN 978-83-65170-29-3

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

WYDAWNICTWO KOBIECE
www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Spis treści

ROZDZIAŁ 1. Dziewczyna z Bostonu 9
ROZDZIAŁ 2. Na miejscu 27
ROZDZIAŁ 3. Byłby z niego zadowolony 55
ROZDZIAŁ 4. Biorąc się w garść 81
ROZDZIAŁ 5. Wspaniałe przeklęte życie 105
ROZDZIAŁ 6. Nixon 127
ROZDZIAŁ 7. Wróg 149
ROZDZIAŁ 8. Śmierć „Stara” 171
ROZDZIAŁ 9. „The Washington Post” 193
ROZDZIAŁ 10. Dżentelmen George 217
ROZDZIAŁ 11. *Grande dame* 233
ROZDZIAŁ 12. Ostatni wzlot 257

Podziękowania 279
Informacje dotyczące przypisów źródłowych . . . 281
Wybrana bibliografia 283

ROZDZIAŁ 1

DZIEWCZYNA Z BOSTONU

Któregoś kwietniowego dnia 1954 roku Newbold „Newby" Noyes, redaktor naczelny „Washington Evening Star", wkroczył do działu recenzji gazety, niosąc dwie butelki zimnego piwa imbirowego. Skierował się do biurka Mary McGrory, która recenzowała książki dla „Stara" już od ponad dekady, znana była z błyskotliwego dowcipu i lekkiego pióra.

Noyes podsunął sobie krzesło, a Mary piwo, po czym zapytał bez owijania w bawełnę i na tyle głośno, że słychać go było po drugiej stronie pokoju:

– Słuchaj, Mary, zamierzasz kiedyś wyjść za mąż?

Mary wiedziała, że to nie jest zwykła rozmowa o niczym. W branży było bardzo mało kobiet, a gdy decydowały się na ślub, wydawcy często wymuszali na nich odejście z pracy. Niektóre reporterki w obawie, że zostaną zwolnione, ukrywały zmianę stanu cywilnego.

– Cóż, no wiesz, mam taką nadzieję – odparła Mary – ale nie wiem…

– Bo jeśli nie zamierzasz – kontynuował Noyes – to chcielibyśmy zaproponować ci coś innego. Przez dłuższy czas sądziliśmy, że wyjdziesz za mąż, zajdziesz w ciążę i nas opuścisz, więc sobie odpuściliśmy. Ale uważamy, że stać cię na więcej.

McGrory zapytała, co by to dokładnie oznaczało.

– Sądzimy – odrzekł Noyes – że powinnaś dodać swój humor, koloryt, urok i talent do stron z wiadomościami.

Mary upiła łyk piwa, po czym zapytała, uśmiechając się z fałszywą skromnością:

– Och, i to wszystko?

Jej odpowiedź mogła wydawać się nonszalancka, ale McGrory dostrzegła swoją szansę. Kierowała się radą, której podczas jednego z waszyngtońskich przyjęć żartobliwie udzieliła onieśmielonemu bufetem krewnemu: „Zawsze podchodź do półmiska krewetek tak, jakby należał do ciebie".

– Tak – potwierdził Noyes. – Chcemy, żebyś zaczęła od przesłuchań McCarthy'ego[1].

Przesłuchania te stanowiły punkt zwrotny nie tylko dla Josepha McCarthy'ego, senatora ze stanu Wisconsin, lecz także dla całego narodu. Na początku 1954 roku republikanin zaczął agresywnie ścigać domniemanych komunistów w Departamencie Stanu i wojsku (na podstawie – w dużej mierze – sfabrykowanych dowodów), oczernił wielu wysokich rangą urzędników wezwanych przed oblicze komisji śledczej badającej działalność rządu, a nawet rzucił wyzwanie samemu Dwightowi Eisenhowerowi, twierdząc, że nie wykazuje należytego zaangażowania w walkę z komunizmem. Rozwścieczony prezydent w końcu przyjął bardziej konfrontacyjne podejście; rząd oskarżył doradcę McCarthy'ego, Roya Cohna, o to, że zabiegał o specjalne traktowanie jednego z byłych pracowników senatora odbywającego służbę wojskową. Przesłuchania „McCarthy kontra armia", które miały dotrzeć do sedna sprawy, rozpoczęły się 22 kwietnia 1954 roku; zafascynowany naród mógł je śledzić w telewizji na żywo.

Mary, jak później wspominała, przekroczyła próg siedziby Kongresu „sparaliżowana strachem"[2]. Była oszołomiona liczbą stłoczonych w sali reporterów, pracowników Kapitolu, funkcjonariuszy lokalnej policji oraz widzów. W głowie słyszała słowa Newby'ego Noyesa: „Nie opuść żadnego przesłuchania. Wszystko uważnie obserwuj, wszystko notuj"[3]. Niespodziewanie zobaczyła w tłumie przyjazną twarz – Mike Dowd, oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo Senatu pomógł jej przedrzeć się do przeznaczonego dla prasy długiego stołu konferencyjnego w pierwszym rzędzie. Dowd, imigrant z Irlandii, którego córka Maureen pracowała z McGrory i stała się jej bliską przyjaciółką, powiedział po latach, że chciał tylko okazać wsparcie tej miłej irlandzkiej dziewczynie podczas jej pierwszego dużego zadania[4].

Gdy arogancki zatwardziały antykomunista wkroczył do sali w błysku fleszy i pełnej wykrzykiwanych zewsząd pytań, Mary poczuła, że go zna. „Spotykałam tego typu ludzi przez całe życie, na stypach, na weselach, na balu na zakończenie gimnazjum – zauważyła. – Był zwykłym irlandzkim osiłkiem lubiącym znęcać się nad słabszymi"[5].

McCarthy'ego wspierał jako doradca prawny Roy Cohn; armię reprezentował Joseph Welch, wysoki, bo mierzący niemal sto dziewięćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu, sześćdziesięciotrzyletni dystyngowany adwokat z Bostonu. McCarthy tyle razy wnosił sprzeciw podczas postępowania, że jego nosowe „Procedura!"* szybko stało się ogólnokrajowym powiedzonkiem.

Po powrocie do redakcji po pierwszym dniu przesłuchań Mary zabrała się do pracy, usiłując przekształcić swoje pośpieszne niestaranne notatki w artykuł. Przypominało to walkę.

– Nie, nie, nie, nie, Mary – powiedział krótko Noyes, przejrzawszy pierwszy szkic tekstu. Przypominał notatkę z agencji prasowej, a on chciał relacji niczym spod pióra krytyka teatralnego. Pragnął, żeby czytelnicy znaleźli się w sali przesłuchań. – Napisz to jak list do ulubionej cioci.

Sześć godzin później, po niezliczonych szarpiących nerwy korektach i przeróbkach, pierwszy artykuł Mary McGrory był gotowy[6]. Ukazał się 23 kwietnia 1954 roku.

Mary potraktowała instrukcję Noyesa niemal dosłownie, zaczynając swój tekst słowami: „Jest jeszcze za wcześnie, by pisać o fabule, ale obsada robi wrażenie. Gwiazda tego przedstawienia, senator McCarthy, toruje sobie drogę przez tłum, wśród nieśmiałych wiwatów". O Cohnie napisała, że przypomina uczniaka, który dostał naganę, a teraz „przyprowadził do szkoły rodziców, żeby wyjaśnić sprawę". Sekretarz armii Robert Stevens wyglądał – według niej – „niemal równie niebezpiecznie jak orzeł skautingu**".

Mary miała swój styl, nie starała się naśladować uznanych reporterów. To mógł być jej jedyny materiał w redakcji informacyjnej – McCarthy zniszczył karierę wielu dziennikarzy, polityków i pracowników administracji rządowej, którzy odważyli się mu przeciwstawić, podczas gdy kraj pogrążał się w czerwonej panice. Mimo to ona nie chciała grać bezpiecznie i bez wahania sportretowała senatora jako ohydnego despotę. Niespodziewanie „Star", postrzegany zawsze jako dziennik o profilu konserwatywnym, rozbrzmiał świeżym, nieco bezczelnym głosem o zdecydowanie liberalnej orientacji.

Mając za sobą pierwszy tekst, Mary udała się na drugie przesłuchanie, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z oszołomienia. Noyes chciał, żeby skupiła się na reprezentującym armię Josephie Welchu, ale ona nie była do tego przekonana. Noyes, ostatecznie zadowolony z felietonu Mary, nie dawał za wygraną:

---

* *Point of order* – prawo do zachowania procedury, na które strona może się powołać, jeśli uważa, że podczas rozprawy łamane są obowiązujące procedury lub zasady (wszystkie przypisy dolne pochodzą od tłumacza).

** *Eagle scout* – skaut, który przed osiemnastym rokiem życia zdobył co najmniej dwadzieścia jeden sprawności i otrzymał odznakę orła skautingu.

– No, co możesz powiedzieć o Welchu?

Mary od razu pomyślała o jego spokoju, który mocno kontrastował z upiorną paranoją McCarthy'ego. Welch nosił kamizelkę i kieszonkowy zegarek, był uprzejmy i kulturalny.

– Wciąż przypomina, że poza salą przesłuchań jest inny świat – zauważyła. – Zawsze wyciąga zegarek i mówi: „Cóż, jeśli odroczymy spotkanie o tej i o tej godzinie, zdążę na pociąg, który odjeżdża do Bostonu kwadrans po piątej". Wnosi normalność, zwyczajność.

– Sądzę, że powinnaś o tym napisać…

I tak też się stało:

„W powodzi morza świateł wypełniającego salę przesłuchań, pan Welch, który wygląda tak, jakby zstąpił z kart powieści o klubie Pickwicka, nie wydaje się w swoim żywiole. Wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy ma poważne, inteligentne spojrzenie. Zdaje się promieniować wewnętrznym światłem, a nie tylko uśmiechać. Czasem, kiedy słucha świadka, składa dłonie w wieżyczkę, łącząc opuszki palców obu dłoni, zaabsorbowany padającymi słowami niczym meloman pochłonięty koncertem Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej".

Mary znalazła pozytywnego bohatera w historii, która takiej postaci bardzo potrzebowała; później połączyła ją z Welchem wieloletnia przyjaźń.

Krótkie terminy stanowiły dla dawnej recenzentki książek nowe deprymujące doświadczenie. Zegary w redakcji doprowadzały ją do rozpaczy. Choć Mary pisała pięknie, była perfekcjonistką cyzelującą każde zdanie. Gryzła ołówki, odpalała jednego papierosa od drugiego, nerwowo zgniatała skrawki gazety w kuleczki, które reporter Chick Yarbrough nazywał udręczkami. Któregoś ranka dla żartu policzył rozrzucone na biurku Mary kuleczki i zostawił jej wiadomość: „Znalazłem trzydzieści sześć udręczek. Musiałaś mieć naprawdę zły dzień"[7].

Relacja Mary z przesłuchań dla popołudniowego wydania była bezlitosna. Napisała, że Welch wpatrywał się w McCarthy'ego niczym „naukowiec, który obserwuje nowego nieobliczalnego potwora"[8].

Felietony szybko znalazły się na ustach wszystkich. Minęło zaledwie kilka dni, a Mary dostała w tym czasie więcej listów niż w ciągu trzynastu lat recenzowania książek. Odpowiedziała na wszystkie – tak jak zawsze. Później wspominała: „Nagle ludzie chcieli mnie adoptować, poślubić, otruć, przegonić

z miasta”[9]. „A więc dołączyła Pani do nagonki na naszego dobrego senatora McCarthy’ego i Pana Cohna – narzekał jeden z czytelników. – Pani artykuł z piątkowego wydania gazety świadczy o umysłowej ociężałości i braku klasy”[10]. Inni czytelnicy byli mili. Chcieli wiedzieć, jaki Mary ma kolor oczu, co lubi jeść, czy jest panną; pielęgniarka z lokalnego szpitala napisała, że pacjenci z sal pooperacyjnych co wieczór niecierpliwie czekali na jej felietony[11]. Ktoś zadzwonił na centralkę „Stara”, żeby podziękować Mary za to, iż pisząc o McCarthym, wykazuje „więcej odwagi niż większość mężczyzn”[12]. Para z Marylandu, bojąc się o bezpieczeństwo dziennikarki, dopytywała się, czy ktoś ją chroni. (Wśród listów od wielbicieli najbardziej Mary ceniła sobie ten, w którym czytelnik pisał: „Mam nadzieję, że nazwisko Mary McGregory stanie się powszechnie znane”. To dlatego Herbert Block, rysownik pracujący dla „The Washington Post”, mówił zawsze na Mary „McGregory”[13]).

Nie wszyscy w „Starze” byli zadowoleni z nagłej sławy Mary. Herbert Corn, redaktor prowadzący gazety, piętnował nieformalny ton artykułów. Uważał, że takie podejście do tematu jest ryzykowne, a nawet groźne. Naraził się także na krytykę ze strony innych redaktorów za to, że pozwolił kobiecie zajmować się polityką. Newby Noyes trzymał Corna na dystans.

Mary nigdy nie określała swoich tekstów dotyczących przesłuchań jako odważnych czy innowacyjnych, ale takie właśnie były. Pióro miała lekkie, a sposób opowiadania historii niezwykle intymny. Nie wahała się używać sarkazmu, charakteryzując McCarthy’ego. Roger Mudd, prezenter wiadomości CBS, zauważył: „To była era Eisenhowera, era McCarthy’ego, era głębokiego konformizmu; ale ona nie chciała się podporządkować”[14]. Pisała o słabostkach i hipokryzji senatorów i prezydentów tak beztrosko – i dosadnie – jakby plotkowała przy kuchennym stole o sąsiadach. Jej styl był wyraźnie inny, umiejętności obserwacji zadziwiały. Howard Shuman, pracownik Kongresu, który przez lata wielokrotnie widział Mary w akcji, mówił z zachwytem: „Mary potrafiła opisać prawdziwą osobowość człowieka, spoglądając tylko na jego kark”[15].

Szczupła, pełna życia, atrakcyjna, Mary wnosiła powiew świeżości w zdominowany przez mężczyzn korpus prasowy. Prezenter radiowy Walter Winchell i felietonista Walter Lippmann stwierdzili, że brak im słów, by opisać, jak bardzo lubili czytać artykuły Mary. McGrory blisko zaprzyjaźniła się także z Doris Fleeson, publicystką polityczną United Feature Syndicate. Nie tylko żywiła podobną silną wiarę w konieczność samodzielnego wykonywania czarnej roboty, lecz także uwielbiała pełną elegancji prezencję Fleeson. Kiedy pewnego razu odwiedziła przyjaciółkę w jej domu w Georgetown, ze zdumieniem stwierdziła, że „zmora polityków przyszywa właśnie świeże białe mankiety i kołnierzyk

do granatowej sukienki”[16]. Komentując narastający z dnia na dzień szum wokół felietonów Mary, Fleeson powiedziała: „Przez te wszystkie lata ukrywała się na półce z książkami, czekając, by uderzyć”[17].

McCarthy nieustannie groził swoim senackim kolegom, ale jego szorstkość złagodniała. Było jasne, że Roy Cohn zapewnił specjalne traktowanie Davidowi Schine’owi, nieodpłatnie doradzającemu McCarthy’emu w sprawach dochodzeń. Schine, który służył w randze szeregowca w Fort Dix, dzięki powiązaniom z senatorem miał dodatkowe urlopy i lżejsze obowiązki. (Tajemnicą poliszynela było, że Roy Cohn przejawiał skłonności homoseksualne; prawdopodobnie żywił nieodwzajemnione uczucia do Schine’a). Przesłuchania stopniowo zamieniały się w szeroki strumień wzajemnych oskarżeń. Jak napisała Mary na dzień przed punktem zwrotnym w historii działalności podkomisji śledczej: „Podczas przesłuchań «McCarthy kontra armia» w sali nie ma doktora, ponieważ śmierć ponieść tu może jedynie dobre imię człowieka, a na to nie ma lekarstwa”[18].

McCarthy, poirytowany serią pytań obrony, 9 czerwca 1954 roku oskarżył Freda Fishera – jednego z prawników bostońskiej kancelarii Welcha – o sympatyzowanie z komunistami. Welch trzymał kolegę z dala od przesłuchań, gdyż zdawał sobie sprawę z jego trudnej pozycji; po ukończeniu studiów Fisher na krótko znalazł się na czarnej liście. Welch i Cohn zawarli wcześniej umowę dżentelmeńską, że nazwisko Fishera nie padnie podczas przesłuchań. Mary tak opisała sytuację: „Podczas sześciu burzliwych tygodni przesłuchań pan Welch znosił ataki personalne senatora McCarthy’ego z opanowaniem i elegancją, komentując je zaledwie skinieniem głowy. Ale napaść senatora na przyjaciela pana Welcha przyniosła kres milczącej tolerancji makkartyzmu i pozwoliła nam być świadkami pokazu elokwencji i wzburzenia, które wstrząsnęły zebraną na sali koterią”[19].

Słowa Welcha, który wnosił o niepodważanie uczciwości przyjaciela, miały w sobie moc: „Do tej pory, panie senatorze, nie oceniałem rozmiaru pańskiego okrucieństwa i lekkomyślności”. McCarthy ignorował protest Welcha, aż usłyszał: „Nie mordujmy już tego chłopaka, panie senatorze. Zrobił pan już wystarczająco dużo. A gdzież pańskie poczucie przyzwoitości? Czy nie zachował pan choć odrobiny przyzwoitości?”. Po krótkiej słownej potyczce adwokat pokazał jasno, że ma dość: „Na Boga, ta sprawa nie przysłuży się ani panu, ani pańskiemu przedsięwzięciu. Nie będę na ten temat więcej dyskutować”. Wystąpienie nagrodzono gromkimi brawami, podczas których McCarthy mamrotał do siebie: „Co ja narobiłem? Co ja narobiłem?”. Wymiana zdań poruszyła również Welcha. Mary napisała, że „po raz pierwszy wyglądał na swoje sześćdziesiąt trzy lata”[20].

Welch zdjął czar rzucony przez McCarthy'ego. Popularny senator zaczął tracić sympatyków i znalazł się pod pręgierzem krytyki kolegów z Senatu. Wkrótce popadł w głęboki alkoholizm. Zmarł trzy lata później – złamany, okryty hańbą, poważany tylko przez zagorzałych zwolenników.

Mary opisała każdy dzień przesłuchań, co dało w sumie trzydzieści sześć artykułów. Jej kariera zyskała ogólnokrajowy wymiar. Relacje zostały zgłoszone do Nagrody Pulitzera i przegrały dopiero w finałowej „rundzie". Tom Oliphant, wieloletni waszyngtoński korespondent „The Boston Globe", twierdził, że relacje Mary stanowiły „klucz do upadku politycznego McCarthy'ego – tak jak działalność Edwarda R. Murrowa w CBS, nowym medium, jakim była wówczas telewizja – ponieważ były niesamowicie precyzyjne, a nie przesadnie oskarżycielskie"[21].

Co powodowało, że Mary sprawiała wrażenie tak odmiennej, niekonwencjonalnej? Nie chodziło tylko o to, że była kobietą w męskim świecie, choć mogło to działać na jej korzyść. Nie chodziło też o to, że pięknie pisała, choć to oczywiście prawda. Rzecz w tym, że w owym okresie skupianie się na osobistym wymiarze polityki i pobudkach prominentnych działaczy wydawało się niemal zuchwalstwem. Poza tym Mary rozumiała, że wraz z nastaniem nowego medium prasa, chcąc konkurować z ruchomymi obrazami telewizyjnych wieczornych wiadomości, musi oferować bardziej sugestywne ujęcie wydarzeń.

Mary McGrory sprawiła, że zmienił się pogląd na to, kogo jesteśmy skłonni zaakceptować jako dziennikarza, i zrewolucjonizowała to, w jaki sposób mówimy o polityce, ale początki jej kariery były skromne.

Urodziła się 22 sierpnia 1918 roku w Roslindale na przedmieściach Bostonu – dwa lata przed tym, jak kobiety zyskały prawo do głosowania. Jej ojciec był urzędnikiem pocztowym, matka pracowała dorywczo jako księgowa, żeby podratować domowy budżet. Mary z sentymentem opisywała swoje dzieciństwo i młodość jako romantyczne i purytańskie zarazem[22]. Idealizm i uczuciowość były domeną Edwarda McGrory'ego, prawdziwego chrześcijańskiego dżentelmena (należy zauważyć, że wspomnienia Mary dotyczące ojca są tak słodkie, iż trzeba do nich podchodzić z rezerwą). To właśnie on miał przekazać Mary zamiłowanie do literatury, długich spacerów i świeżych malin[23]. Uczęszczał do szkoły średniej w południowym Weymouth. Celował w łacinie, według Mary w całej historii placówki nie było ucznia lepszego z tego przedmiotu, zo-

stał nagrodzony prestiżowym stypendium uniwersytetu w Dartmouth, z którego nie mógł jednak skorzystać. Ojciec Edwarda zmarł na krótko przed rozpoczęciem roku akademickiego, chłopak musiał więc porzucić studia i podjąć pracę, aby utrzymać siedmioro młodszego rodzeństwa[24].

O ile ojciec rozjaśniał życie Mary irlandzkim romantyzmem, o tyle jej matka, Mary Catherine McGrory, wnosiła w nie surowość zasad moralnych i obyczajów. Głęboko religijna utrzymywała dyscyplinę żelazną ręką, ale nie była pozbawiona poczucia humoru[25]. Znajomi Mary zgodnie twierdzili, że w jej przypadku urok osobisty przeplatał się z tendencją do rygorystyczności czy nawet apodyktyczności. „Nie była typową roześmianą irlandzką dziewczyną – zauważył bliski przyjaciel Mary, bostończyk Mark Shields. – Przejawiała surowość i asertywność. Coś, czego w owym czasie raczej nie kojarzono z Irlandczykami"[26]. Bratanice i bratanek Mary przypisywali te cechy jej osobowości, zasłużenie bądź nie, matce.

Mary przez całe życie ubóstwiała ojca, pisała o nim w swoich felietonach, dzieliła się z czytelnikami ciepłymi anegdotami na jego temat. O matce nie zająknęła się nawet słowem w żadnym ze swoich artykułów, w rozmowach z przyjaciółmi, podczas wywiadów. Nie wspominała też, jaki miała wpływ na jakikolwiek aspekt jej dzieciństwa. „O ojcu zawsze wypowiadała się z absolutną miłością i czułością, ogromnym szacunkiem i podziwem – zauważa Elizabeth Shannon, z którą Mary przyjaźniła się kilkadziesiąt lat. – Nigdy, dosłownie nigdy, nie słyszałam, żeby powiedziała coś o matce; dobrego czy złego"[27]. Mary nie zerwała kontaktu z matką, ale utrzymywały chłodne stosunki.

Tożsamość była niezwykle istotna w Bostonie z czasów młodości Mary. Zamieszkujące miasto rozmaite społeczności, w tym irlandzka, włoska, żydowska i niemiecka, mieszały się niechętnie lub wcale. Szerzyła się bigoteria. Protestanci ubliżali katolikom, nazywając ich niedomytymi pionkami papieża. Księża katoliccy straszyli swoje owieczki ekskomuniką nawet za uczestnictwo w protestanckim ślubie[28]. To był okres, kiedy nazwisko i wyznanie określały kierunek. Irlandzcy bostończycy kultywowali sposób myślenia „my przeciwko nim", nawet gdy z gnębionej mniejszości stali się dominującą większością. Podczas gdy irlandzki Boston rósł w siłę, protestanckie elity – Brahmini* – zostały zepchnięte na bogate przedmieścia.

Rodzice Mary byli małżeństwem mieszanym. Klan McGrorych pochodził z Zielonej Wyspy, hrabstwo Donegal opuścił w latach sześćdziesiątych XIX

* *Boston Brahmins* – pochodząca z lat sześćdziesiątych XIX wieku tradycyjna nazwa członków bostońskiej klasy wyższej, potomków pierwszych brytyjskich kolonistów; nawiązuje do terminu „bramin", oznaczającego członka uprzywilejowanej kasty kapłańskiej w Indiach.

wieku; ale panieńskie nazwisko matki Mary brzmiało Jacobs. Jej przodkowie przybyli z Niemiec do Bostonu w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Wpływy niemieckie w wychowaniu Mary były silne: w domu posługiwano się nie tylko językiem angielskim, lecz także niemieckim, a ulubione danie Mary w dzieciństwie to nie *corned beef and cabbage*[*], ale *Sauerbraten und Spaetzle*[**]. Jednak w dorosłym wieku Mary właściwie nigdy nie wspominała o swoich niemieckich korzeniach[29]. Jej przyjaciele i koledzy z pracy nie mieli pojęcia, że nie ma czysto irlandzkiego pochodzenia. Co więcej, to właśnie tę irlandzkość postrzegali jako klucz do jej osobowości – którym, choć nie do końca, była. Być może nie powinno to zaskakiwać. Mary dorastała w bardzo irlandzko-katolickiej okolicy w bardzo irlandzko-katolickim mieście w okresie między dwiema wielkimi wojnami toczonymi przeciwko Niemcom. Miała solidne irlandzkie nazwisko, a akcent jej matki nie był zbyt mocny, niczego by nie zyskała, identyfikując się inaczej niż jako bostonka o irlandzkich korzeniach – ani towarzysko, ani w szkole czy w pracy. Mary zdecydowała, że jej publiczny wizerunek będzie nawiązywał do McGrorych, a nie Jacobsów. Budując go z żarliwością neofity, stała się bardziej irlandzka niż jakikolwiek Irlandczyk. Podobnie jak matka, tak i niemieckie dziedzictwo zostało po prostu wymazane z jej historii.

Rodzice Mary dbali o jej edukację, dzięki czemu została ona przyjęta do bostońskiej Girls' Latin School[***], w owym czasie najlepszej publicznej szkoły średniej dla dziewcząt w USA. To był prawdziwy łut szczęścia. Właśnie tam Mary wypracowała manierę, która przekonywała większość poznanych przez nią później osób, że musiała pochodzić z bogatej rodziny ze Wschodniego Wybrzeża.

Szkoła usytuowana przy Huntington Avenue znana była z wysokiego poziomu[30]. W siódmej klasie dziewczęta musiały przebrnąć przez *Commentarii de bello Gallico*[****] Juliusza Cezara. Mary porównywała zajęcia do służby w korpusie piechoty morskiej: „Zasadniczo było to nie do wytrzymania"[31]. Na miejsce docierała tramwajem. Bilet, który kosztował dziesięć centów, przenosił ją w inny, bardziej wytworny świat. Zaledwie spacer dzielił ją od klejnotów Copley Square – muzeum sztuk pięknych z zachwycającymi malowidłami ściennymi Johna Singera Sargenta, romańskich wież kościoła Świętej Trójcy oraz łukowo sklepionych czytelni biblioteki publicznej, w której latem Mary pracowała, układając na półkach książki.

---

* Peklowana wołowina i kapusta (w USA często kojarzona z irlandzkim Dniem Świętego Patryka).

** Pieczeń marynowana (zwykle wołowa) z kładzionymi kluskami, typowa dla kuchni południowoniemieckiej.

*** Dosłownie: żeńska szkoła łacińska. Nazwa odwołuje się do średniowiecznych szkół przygotowujących uczniów do studiów na uniwersytecie, w których głównym przedmiotem nauki był język łaciński.

**** Pamiętniki poświęcone wojnom galijskim toczonym w latach 58–50 p.n.e.

Lata spędzone w Girls' Latin School umocniły w sercu Mary miłość do słowa pisanego. Pochłaniała książki, preferowała dziewiętnastowieczne romanse podszyte melodramatem i pełne falujących ze wzburzenia czy wzruszenia piersi, takie jak *Wichrowe Wzgórza* czy *Dziwne losy Jane Eyre*[32]. Przemyślenia, które w owym czasie notowała w dzienniku, były mocno rozproszone. W jednej chwili marzyła o karierze reporterki lub pisarki, żeby za moment godzić się z perspektywą nauczania w szkole lub ugrzęźnięcia na zawsze w Roslindale. Zastanawiała się, czy nie zostać zakonnicą. Regularnie chodziła w niedziele do kościoła, nigdy nie rozrabiała ani nie okazywała nieposłuszeństwa. W głębi duszy pragnęła jednak przygód godnych bohaterek czytanych przez nią powieści. Konserwatyzm Mary maskował skłonność do impulsywności, jej ambicje nie pokrywały się z możliwościami. Jakby literatura pozwoliła Mary zerknąć na nowy świat, którego nie mogła być częścią.

Mary pierwsza w historii rodziny ukończyła szkołę wyższą – bostoński Emmanuel College. (Pragnęła uczęszczać do Radcliffe, żeńskiego college'u będącego siostrzaną uczelnią męskiego Harvardu, ale jej wniosek o przyznanie stypendium został odrzucony ze względu na zbyt słabe wyniki z matematyki i nauk ścisłych[33]). W czerwcu 1939 roku otrzymała tytuł licencjata filologii angielskiej. Zaraz potem zapisała się do Hickox Secretarial School, studium dla sekretarek, gdzie uczyła się maszynopisania i stenografii. Niespokojny optymizm z czasów Girls' Latin School zniknął. „W ciągu kolejnych lat doszłam do wniosku, że nie stanę się, jak to sobie niegdyś naiwnie wyobrażałam, niezwykłą kobietą"[34] – zanotowała w dzienniku Mary. Na horyzoncie nie było ani pracy, ani romansu.

Tymczasem 8 września 1939 roku, po krótkiej walce z zapaleniem płuc, zmarł Edward McGrory. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat. Nagłówki gazet zdominowały tytuły artykułów dotyczących pogrążającej się w koszmarze drugiej wojny światowej Europy. To był trudny okres. W styczniu 1940 roku Mary pompatycznie lamentowała, że teraz nadzieję może mieć najwyżej na „znalezienie miłej pracy w fabryce produkującej nakrętki i śruby i oddanie się cichej spokojnej melancholii do końca swoich samotnych dni"[35]. Samopoczucie poprawiło jej się znacznie w marcu 1940 roku, kiedy to dostała pracę w dziale graficznym Houghton Mifflin Publishing Company. Za szesnaście i pół dolara tygodniowo kadrowała ilustracje do podręczników. Mniej więcej po roku, wbrew radom matki, Mary porzuciła tę dość bezpieczną posadę na rzecz niemile wspominanego epizodu w sztabie wyborczym jednego z kandydatów na burmistrza w 1941 roku[36].

Znów bezrobotna Mary zdecydowała się podążyć za marzeniami i poszukać pracy w prasie. Dziennikarstwem zainteresowała się już w dzieciństwie, kie-

dy to w gazetowym komiksie śledziła przygody pełnej wigoru reporterki Jane Arden. Dzięki cynkowi od kolegi z Houghton Mifflin w 1942 roku Mary została asystentką Alice Dixon Bond, redaktorki działu literackiego „Boston Herald Traveler". („Herald" i „Traveler" były odrębnymi gazetami, których redakcje mieściły się w tym samym budynku). Mary i Bond nie miały ze sobą wiele wspólnego. Bond, lubiąca kwiatowe wzory i perły bywalczyni salonów w prestiżowej dzielnicy Beacon Hill, opisywała scenę literacką przymilnym, wzniosłym tonem redaktorki rubryki towarzyskiej. Dział recenzji książek był stateczny, Mary wolała chaos sąsiadującego z nim newsroomu – pełnego pojemniczków z klejem*, stert gazet zalegających na stłoczonych w rzędach drewnianych biurkach, redaktorów usiłujących przekrzyczeć harmider[37].

Mary rozpoczęła pracę, nie mając znajomości ani kwalifikacji, kiedy dziennikarstwo było zdominowane przez mężczyzn – poczynając od wydawców na szczycie drabiny, a kończąc na chłopcach na posyłki na samym dole. Trudno to nazwać odpowiednią profesją dla miłej katoliczki z Roslindale. Jak żartował pisarz i historyk mediów Eric Alterman: „Dziennikarstwo było postrzegane jako praca dla pijaczków, zboczeńców i osób, które nie miały wystarczająco dużej wyobraźni, by zostać gangsterami"[38].

Mary pragnęła pracować w redakcji informacyjnej, ale Alice Dixon Bond uważała to za nierealne i niewłaściwe[39]. Sfrustrowana zaapelowała do George'a Minota, redaktora naczelnego, żeby dał jej szansę. Nie zgodził się, mówiąc, że jest zbyt nieśmiała, by być dobrym reporterem[40]. Dopiero w marcu 1946 roku przełożeni Mary pozwolili jej, choć niechętnie, napisać dłuższy tekst. Opowiadał o Macu, niesfornym psie Mary, którego opisała jako „lwa MGM na kacu"[41]. Niespodziewanie felieton okazał się wielkim hitem[42].

Łut szczęścia, który później miał nieodwracalnie zmienić życie Mary, sprawił, że jej teksty wpadły w oko Johnowi Hutchensowi z „New York Times Book Review". Zapytał on Mary, czy chciałaby pisać na zlecenie recenzje dla „Timesa", wciąż pracując dla „Herald Traveler". Podpisana przez Mary recenzja *Reluctant Hussy*** Richarda Burke'a pojawiła się w „Timesie" w czerwcu 1946 roku. Mary opisała książkę jako „nieskrępowany konwenansami smakołyk".

Tekst w „Timesie" stanowił znaczące dokonanie dla każdego recenzenta; jeszcze większe dla dwudziestoośmiolatki w latach czterdziestych. Arthur Gelb, redaktor prowadzący „New York Timesa", powiedział: „«Book Review» to była

* Teksty pisano wówczas na długich rolkach papieru. Jeśli chciało się dodać akapit, należało odciąć rolkę w odpowiednim miejscu i dosztukować nowy paragraf. Do klejenia najczęściej używano pojemniczków z zamocowanym pod nakrętką pędzelkiem.

** Dosłownie: niechętna latawica. Książka opowiada o San Francisco 1904 roku, nocnym życiu, multimilionerach i subretkach.

świętość, instytucja, magazyn o takiej randze, że ukazanie się w nim nazwiska poczytywano za wielkie osiągnięcie". W 1946 roku w „Timesie" tylko cztery kobiety były zatrudnione na stanowisku reportera lub redaktora, wszystkie miały status młodszego pracownika i zajmowały jeden rządek biurek[43].

Wiosną 1947 roku Hutchens poinformował Mary, że „The Washington Star" szuka asystenta recenzenta literackiego. Mary postanowiła skorzystać z okazji i w sierpniu zaczęła pracę w stolicy. Jej pensja wynosiła siedemdziesiąt dolarów tygodniowo. Mary spodziewała się sprzeciwu ze strony matki, ale z pomocą przyszła jej ciotka, która przyrzekła, że zatroszczy się o Mary Catherine. Gotowość Kate do wzięcia na siebie tej odpowiedzialności stanowiła dla Mary prawdziwą gwiazdkę z nieba. Wreszcie mogła zobaczyć coś więcej[44]. Mimo chęci ucieczki Mary darzyła Boston szczerym uczuciem; pokochała to miasto jeszcze mocniej za to, że je opuściła.

Po przyjeździe do Waszyngtonu, który w wyniku rozrostu administracji państwowej podczas drugiej wojny światowej przeżył boom demograficzny, Mary doświadczyła uczucia rozległości i swobody ruchu. Stołeczne aleje były szerokie i wysadzane drzewami, w niczym niepodobne do ciasnych ulic Bostonu. Co więcej, „w Bostonie twoje nazwisko lub twoja twarz przymrażały cię do miejsca – wspominała Mary. – W Waszyngtonie nikt nie wiedział w stu procentach, kto kim jest"[45]. To pozwalało wymyślić siebie na nowo, stworzyć siebie takim, jakim chciało się być. Podczas gdy w Roslindale tożsamość stanowiła dla Mary źródło nieustannego niepokoju, w Waszyngtonie nieco wyretuszowany wizerunek klasycznej irlandzkiej bostonki stał się źródłem nieprzemijającej dumy.

„The Washington Star" był w owym czasie jedną z najważniejszych i najpopularniejszych amerykańskich gazet. Założony w 1852 roku, znajdował się w posiadaniu trzech rodzin: Kauffmannów, Noyesów i Adamsów. Umiarkowanie konserwatywny, stanowił filar republikańskiego establishmentu. Skrzętnie kultywował tradycję, podobno prezydent Abraham Lincoln osobiście wręczył Crosby'emu S. Noyesowi kopię drugiego przemówienia inauguracyjnego, aby mogło być wydrukowane w „Starze".

Popołudniówki, takie jak „Star", stanowiły osobliwość w czasie, gdy większość czytelników zasiadała do lektury prasy po powrocie z pracy. „Star" puszczał pięć wydań gazety w ciągu dnia – pierwsze ukazywało się o godzinie dziewiątej rano, ostatnie, zwane „czerwoną falą", zawierało finalne dane z Wall Street i sprzedawane było tylko w kioskach. Do domu dostarczano jedynie edycje popołudniowe, więc terminy wyznaczane reporterom oraz felietonistom dotyczyły wydań popołudniowych. Wszystko to sprawiało, że była to ogromna i pracochłonna operacja. Dziennikarze dyktowali swoje artykuły transkryp-

cjonistkom, które zapisywały teksty na papierze powielaczowym. Po akceptacji redaktora teksty cięto i sklejano, ręcznie składano i łamano, a następnie drukowano. Kontynuując tradycję, do prac zecerskich „Star" zatrudniał wielu absolwentów Gallaudet University, uczelni dla osób niesłyszących, ponieważ nie przeszkadzał im bezustanny hałas maszyn.

Ciągła presja sprawiała, że w redakcji informacyjnej „Stara", pełnej utalentowanych, ale trudnych osobowości, panowała wyjątkowa atmosfera, luźna, gorączkowa, nieco pijacka. Liczyło się tylko zdobycie materiału. „To był raj – twierdziła Mary. – Wspaniałe, przyjazne, zabawne miejsce, pełne ekscentryków i desperatów, walczących o to, by pięć razy dziennie zdążyć z tekstem na czas"[46]. Mary szybko się zaadaptowała. „Newsroom – pisała później – to przestronne pomieszczenie, zastawione zabałaganionymi biurkami, po którym snują się pyskacze, plotkując o ludziach od nich lepszych i wymieniając na ich temat kąśliwe uwagi, aż zbliży się ostateczny termin oddania tekstu. Wtedy wpadają w rozpacz, bledną, jęczą, warczą, przeklinają, kopią w kosze na śmieci i robią inne społecznie nieakceptowane rzeczy, typowe dla osób, które muszą pisać w pośpiechu"[47]. Po godzinach beztroska atmosfera zwykle przenosiła się do pobliskiego baru – Chicken Hut. Mary śpiewała, piła i paliła razem z kolegami, podczas gdy reporterzy paplali o swoich tematach, narzekali na redaktorów i wytykali sobie błędy. „Star" przypominał Mary jej bostońską szkołę średnią zaprawioną odrobiną sarkazmu, alkoholu i nikotyny. Podekscytowana nową sytuacją odłożyła miłość na bok. Jak stwierdziła jedna z koleżanek, spławiała nawet mężczyzn, którzy „mieli wszystko, o czym dziewczyna mogła pomarzyć".

Choć Mary zżyła się z dziennikarzami, jej katolicyzm wyróżniał ją z tłumu. Nie pochwalała hazardu, tak jak Kościół nie aprobowała na przykład przedmałżeńskiego seksu. Żywiła niezachwianą wiarę w spełnianie dobrych uczynków. Wkrótce po przeprowadzce do Waszyngtonu Mary odwiedziła St. Ann's Infant and Maternity Home w pobliżu Dupont Circle*, niedaleko miejsca jej zamieszkania. Dom pod wezwaniem świętej Anny zapewniał schronienie samotnym matkom, głównie młodym katoliczkom, które wpadły w kłopoty, półsierotom i sierotom. Mary przedstawiła się siostrom, które prowadziły placówkę. Rozmawiając przy herbacie, zauważyła, że wiele samotnych kobiet, które spotkała w Waszyngtonie, koncentrowało się wyłącznie na sobie, ona natomiast pragnęła pomagać w sierocińcu. Zakonnice, które do tej pory nigdy nie miały do czynienia z wolontariatem, nie wiedziały, co myśleć o tej upartej młodej ko-

* Dzielnica w północno-zachodnim Waszyngtonie.

biecie. Kiedy próbowały dyplomatycznie podziękować za dobre chęci, jedno z dzieci odłączyło się od grupy na placu zabaw, podeszło do Mary, wdrapało się na jej kolana, po czym zadarło głowę i zapytało, czy Mary zostanie na noc. Święta Anna zyskała pierwszą wolontariuszkę.

Mary stała się stałym gościem w domu samotnej matki. A ponieważ wiele dzieci nie potrafiło wyartykułować drżącego dziąsłowego „r" w jej nazwisku, zaczęły mówić na nią Mary Gloria. Mary podobała się ta niepoprawna wymowa; brzmiała egzotycznie, z włoska. Przez ponad pięć dekad co tydzień spędzała kilka godzin w sierocińcu, starając się, aby jego mieszkańcy mogli doświadczyć choć odrobiny normalnego rodzinnego życia – kogoś, kto pocałuje obtarty łokieć albo nauczy piosenki o alfabecie. „Mary mogła mieć na sobie elegancki strój i wybierać się zaraz po wizycie w Świętej Annie na uroczysty proszony obiad w ambasadzie – wspominała siostra Mary Bader – ale nie zawahałaby się przytulić ubłoconego dzieciaka, który przybiegłby do niej prosto z placu zabaw".

Mary niezmordowanie naciskała kolegów w „Starze", by udzielali się w Świętej Annie. To właśnie przymuszanie do wolontariatu sprawiło, że felietonistka Maureen Dowd opisywała ją jako „tę, której trzeba być posłusznym". Mało kto odważył się odmówić pomocy przy organizacji wycieczek i pikników dla dzieci z sierocińca. Każdy wolontariusz miał konkretne zadanie – od kierowania vanem do robienia kanapek z masłem orzechowym i majonezem. Wolontariusz, który opuścił piknik dla dzieci, nie mógł wziąć udziału w „pikniku" dla dorosłych – obiedzie suto zakrapianym alkoholem. Mary wprowadziła zwyczaj organizowania przyjęcia bożonarodzeniowego dla sierot; imprezy zwykle odbywały się w domu jednego z jej współpracowników. Do odgrywania roli Świętego Mikołaja szybko przekonała Tommy'ego Noyesa, najmłodszego z trzech braci Noyesów pracujących w gazecie. Co roku wszystko odbywało się w ten sam sposób: kiedy dzieci przyjeżdżały na miejsce, Mikołaj „spał" na kanapie, więc budziły go, coraz głośniej śpiewając *Jingle Bells*. Przed rozdaniem prezentów Mikołaj delikatnie ośmielał dzieci i je upominał. Jak zaobserwował felietonista Anthony Lewis: „Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek inny dziennikarz w Waszyngtonie zrobił to, co ona robiła dla tych dzieci"[48].

Tymczasem w „Starze" Mary narzekała, że „nikt nie zwraca najmniejszej uwagi" na publikowane przez nią recenzje[49]. Ale to właśnie czas spędzony w dziale literackim odegrał ważną rolę w rozwoju jej osobowości. Nauczyła się, jak skrytykować autora, a potem spojrzeć mu w twarz. Nauczyła się doceniać, że odnoszący największe sukcesy pisarze kreowali się na swoje najciekawsze charaktery. Zaczęła interesować się modą. Nauczyła się dotrzymywać

kroku w rozmowie nawet najbardziej zblazowanym dziennikarzom. Ale Mary czuła, że w szerszym kontekście jej praca wciąż niewiele znaczy.

Mary przekonywała Newby'ego Noyesa, żeby dał jej szansę i pozwolił pisać o polityce. W końcu, w 1953 roku, Newby zaproponował, żeby przygotowała serię sylwetek ciekawszych polityków w mieście. Te pierwsze teksty pokazują klasyczny styl i kunszt Mary. Alexandra Wileya z Wisconsin scharakteryzowała jako senatora, który w swoich przemówieniach, wykazujących „cudowną wzgardę dla jednolitości, logiki i emfazy", głosi program „przygotowanie, polityka nieinterwencji i ser*"[50]. Najwięcej uwagi przyciągnął profil Lyndona Bainesa Johnsona, który właśnie został liderem mniejszości demokratycznej w Senacie. Opracowując temat, Mary spędziła mnóstwo czasu z Johnsonem. Już wtedy miał opinię polityka potrafiącego zdetonować nawet najbardziej zaprawionego w bojach dziennikarza. Ale Mary nie dała się zastraszyć elokwencji LBJ i przedstawiła rzetelne studium postaci Teksańczyka. Jak robiła to wielokrotnie później, wyciągnęła z Johnsona zwierzenie, które było znacznie częściej cytowane, niżby senator sobie tego życzył. Wyznał, że o ile wiele osób w Waszyngtonie twierdziło, że był on zbyt konserwatywny, o tyle jego teksascy wyborcy uważali go za zbyt liberalnego. „Jestem komunistą w Teksasie – powiedział, charakterystycznie przeciągając samogłoski – i dixiekratą** w Waszyngtonie"[51]. (Cytat podobał się Johnsonowi, dopóki nie zaczął się pojawiać w teksaskich gazetach. Musiał osłabić jego znaczenie[52]). Po publikacji w „Starze" wysłał do Mary przymilny w tonie list, w którym napisał, że cieszy się, iż podobała jej się wizyta, i jak miło było „współpracować z kimś tak bystrym i spostrzegawczym"[53].

To właśnie stworzone przez Mary sylwetki przekonały Newby'ego Noyesa, że może zlecić jej pisanie sprawozdań z przesłuchań McCarthy'ego w 1954 roku. Po trzynastu latach spędzonych na bezproduktywnym recenzowaniu książek, kiedy w głębi duszy pragnęła pisać o polityce, Mary nagle złapała wiatr w żagle. Wkrótce po przesłuchaniach zaczęła relacjonować wydarzenia z kraju. Taki awans stanowił właściwie ewenement – w „Starze" niemal nie zdarzało się, by przy „biurku krajowym" posadzono dziennikarza, który wcześniej nie zajmował się sprawami lokalnymi. „Niektórym starym wyjadaczom nie podobała się obecność kobiety w dziale krajowym, zwłaszcza takiej z wątłymi kwalifikacjami i prowokacyjnymi poglądami – wspominała Mary. – Ale mimo że byłam takim wiekowym szczenięciem, w końcu mi się udało"[54].

---

* Senator Wiley zasłynął tym, że 26 kwietnia 1939 roku, podczas Wisconsin's Cheese Week (tygodnia sera Wisconsin), odsłonił wykonaną z sera rzeźbę przedstawiającą wiceprezydenta Johna Garnera.

** *Dixiecrat* – członek frakcji Partii Demokratycznej, która sprzeciwiała się rozszerzeniu praw obywatelskich ludności kolorowej, dyskryminowanej w Dixie, czyli w południowych stanach USA.

W sierpniu 1954 roku James „Scotty" Reston, znany ze swojej energii dziennikarz i szef waszyngtońskiego biura „New York Timesa", zaczął agresywnie werbować Mary. Reston, który dorobił się reputacji typowego waszyngtońskiego insidera, poinformował Mary, że wprawdzie nie ma wolnego etatu, ale widziałby ją w swoim zespole talentów. Negocjacje szybko przybrały jednak zły obrót. Reston powiedział Mary, że chciałby, żeby pisała dla „Timesa", ale „rano musiałaby obsługiwać centralkę". Reporterka nominowana do Nagrody Pulitzera miała w ramach swoich obowiązków odgrywać rolę telefonistki. „To było tak poniżające, że nie ma słów – wspominała Mary. – Pokazywało nastawienie, którego nie dało się obejść. Byłam tak zażenowana jego zachowaniem, że w owym czasie nikomu o tym nie wspomniałam"[55].

Anthony Lewis, który mniej więcej w tym samym okresie pracował w waszyngtońskim biurze „Timesa", postrzegał Mary jako kulturowe wyzwanie nie tylko dla Restona, lecz także dla samej gazety, w której „nerwowo podchodzono do dziennikarzy prezentujących swoje opinie"[56]. Potwierdzają to słowa Arthura Gelba, który zauważył: „W tych czasach «Times» miał bardzo restrykcyjne podejście do dziennikarskiej swobody. Nie jestem przekonany, że Mary byłaby szczęśliwa w takiej gazecie jak «Times»"[57].

Stanowisko publicystki zaproponowała Mary również agencja informacyjna United Press, ale uprzedzono ją, że musiałaby najpierw popracować jako reporter serwisu prasowego. „Po co? – dziwiła się Mary. – To jak z psem chodzącym na tylnych łapach. Niezwykłe, że to potrafi, ale czego to dowodzi?"[58].

Około 1958 roku Mary próbował skusić „The Washington Post" – rosnący w potęgę lokalny rywal „Stara". Phil i Katharine Grahamowie, właściciele dziennika, zaprosili Mary na obiad. Jak później to opisywała, była to jedna z tych legendarnych, oszałamiających imprez, kiedy siedziała obok notabli, których inaczej nie miałaby okazji spotkać, zwłaszcza jeśli napisała o nich coś niepochlebnego. Gdy Phil Graham złożył Mary lukratywną ofertę, napisała do Newby'ego Noyesa, który w owym czasie przebywał na wakacjach w domu rodzinnym w Sorrento w stanie Maine. Odpowiedział bez zwłoki: „Nie waż się ruszyć nawet na jeden cholerny krok", po czym zaproponował jej podwyżkę i obsypał pochwałami. Mary została[59].

Odniesiony sukces sprawił, że Mary mogła zacząć poznawać świat. Wtedy też podjęła swoje coroczne włoskie wędrówki. W Rzymie siadywała na Schodach Hiszpańskich, przymierzała suknie w atelier sióstr Fontana i jadała lazanie verde na Piazza del Popolo. Rozkoszowała się. Sączyła campari z wodą sodową w barze hotelu Plaza, gdzie zyskała niejako status ikony: Maria Gloria, *la giornalista american*. Personel hotelu serdecznie zachęcał ją do posługiwa-

nia się z lekka kulawym włoskim[60]. Mary czasem podróżowała z przyjaciółmi, ale często jeździła też sama. „Nie miało znaczenia, gdzie jest we Włoszech. Gotowa była zaakceptować i pokochać każde miejsce”[61] – wspominał bliski znajomy Mary, Gerry Kirby.

Przyjaciele Mary z Roslindale zauważyli, że stawała się kosmopolitką w sposób nieco trudny do zrozumienia. Jej mieszkanie w Waszyngtonie, pełne polityki, przyjęć i wydarzeń ze świata, zdawało się znajdować w innym uniwersum. Przyjaciele i znajomi Mary z Bostonu uważali, że powinna odłożyć na bok zabawę w gazetę, wrócić do domu, wyjść za mąż i założyć rodzinę. Matka Mary, która odwiedziwszy córkę, miała okazję zobaczyć ją podczas pracy, kiedy ta w nerwach kończyła artykuł, stwierdziła: „Powinnaś była zdecydować się na pracę w tej firmie telefonicznej”.

W 1955 roku Mary przyjechała do Positano, malowniczego włoskiego miasteczka z kolorowymi budynkami, położonymi kaskadowo na wzgórzu, tuż nad samym morzem, i przypominającymi nieco niechlujnie przygotowany piętrowy tort weselny. Następnego dnia miał się rozpocząć lokalny festiwal. Mary obserwowała gorączkowe przygotowania na plaży – wolontariuszy wznoszących i dekorujących estradę. Podczas imprezy zorganizowano wyścigi w workach, miejscowi chłopcy próbowali wdrapać się na śliski od tłuszczu maszt flagowy. Około dwunastej jacyś imprezowicze zawędrowali pod estradę i ucięli sobie drzemkę przed popołudniową paradą. Kiedy Mary stała na tarasie, obserwując fajerwerki, które odpalono na koniec dnia, jej wzrok spoczął na Vicie Rispolim. „Nie podobał mi się – wspominała później. – A przynajmniej tak mi się wydawało”. Nazajutrz popłynęła łodzią na Capri. Choć wyspa była urocza, Mary ze zniechęceniem pomyślała, że jest tak romantyczna, iż wstęp na nią powinni mieć tylko nowożeńcy podczas podróży poślubnej. Po obiedzie w hotelowej restauracji Mary znowu wpadła na Vita. Tym razem mężczyzna ją zauroczył. Rozmawiali o Positano i chaosie panującym we włoskiej polityce, śmiali się. Spotkali się również następnego wieczoru. Kiedy jakaś Angielka potrąciła stolik, który przewrócił się na stopę Mary, Vito poderwał się z miejsca. Poleciwszy kelnerom przynieść lód i bandaż, zażartował, że być może stopę trzeba będzie amputować. Mary spąsowiała zawstydzona, kiedy otoczył ją tłum kelnerów, boyów hotelowych i gości, jednocześnie była urzeczona troskliwością Vita. Po wieczorze spędzonym w towarzystwie Vito i Mary znaleźli się na opustoszałym *piazza*. Mary usiadła na ławce, a Vito położył się z głową na jej kolanach. Rozmawiali o podróżach i filozofii; on zwracał się do niej pieszczotliwie. Następnego dnia Mary wybrała się na samotne zwiedzanie, ale nie mogła przestać myśleć o swoim włoskim księciu. Tego wieczoru założyła

swoją najlepszą brązowo-niebieską sukienkę. Spacerowali stromymi uliczkami, aż dotarli na molo. Kiedy zapytał ją o jej dotychczasowe związki i seks, zaczerwieniła się. Wrócili do pokoju Vita. Mężczyzna próbował przekonać Mary, żeby spędziła z nim noc. Ona jednak, choć czuła się rozdarta, wróciła do swojego hotelu. W czasach, gdy większość kobiet wychodziła za mąż w wieku dwudziestu paru lat, trzydziestoletnia Mary, mimo że umawiała się na randki, wciąż była panną. Mary przedłużyła swój pobyt. Po dniu spędzonym na plaży poszła z Vitem na plac obserwować tłumy zmierzające na popołudniowy seans w kinie. Mężczyzna komentował przechodniów na żywo. Tym razem również wrócili do jego hotelu. Dobiegające z oddali dźwięki akordeonu pogłębiały odczuwaną przez Mary tęsknotę. Vito zapytał, dlaczego nie chce się z nim kochać. Nie umiała udzielić sensownej dla niego odpowiedzi. Wróciła do swojego hotelu przekonana, że już nigdy więcej nie zobaczy Vita, ale jeszcze tego samego wieczoru on czekał na nią w hotelowej restauracji. Uważała, że to bardzo szarmanckie. Po posiłku, pogrążeni w rozmowie, siedzieli na kamiennych schodach, których strzegły dwie rzeźby lwów. „Był taki zabawny i spostrzegawczy – napisała Mary w swoim dzienniku – zwłaszcza w tym otoczeniu, taki męski". Po wypiciu kilku kieliszków brandy Vito znowu usiłował ją przekonać – mówił, że jedzenie jest po to, by je jeść, papierosy są po to, by je palić, a kobiety po to, by je kochać; mówił, że Mary przypomina morze: wolno się ogrzewa, ale też wolno stygnie; mówił, że jest niesamowitą kobietą. „Biorąc pod uwagę to, co do niego czułam, musiałam się zgodzić – zwierzyła się Mary na kartach swojego dziennika. – To było źródło sporów z nim i innymi przez wiele lat". Mary nie mogła zmusić się do tego, żeby się z nim przespać. Prawdopodobnie wciąż była dziewicą. Wyznała, że nie zdawała sobie sprawy, dlaczego w ten sposób postępuje: „Wierzę, że Bóg zna odpowiedź na to pytanie, ja jej nie znam". Z głębokim żalem w sercu Mary namiętnie pocałowała Vita na pożegnanie.

WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment
tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WydawnictwoKobiece.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece

ul. Kolejowa 12E/3
15-701 Białystok
e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
tel. 731-019-059